OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 10 (22) Stycznia 1868 roku.

Nr 3. { Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. } Rok IV.

TYP PROWINCJONALNY.

Przed laty dwudziestu kilku, w jednej okolicy zapanował pomiędzy młodzieżą smutny obyczaj tłumnych i gwarliwych hulanek. — Jarmarki ciągłe i polowania, gdzie obok szacherki koni, karty i butelka dawały ton pustéj i zaprawnej grubym dowcipem rozmowie, były zwykłemi placami tych zbiegowisk. W życiu podobnem, nie tylko zaniedbanie i gburowatość zastępowały przyzwoitość i towarzyską ogładę,— ale myśl tępiała, charakter się wykrzywiał, a niedołęztwo umysłu i zdziczenie, uniezdatniały do zamiłowania towarzystw poważniejszych i pożyteczniejszych zajęć. Młody człowiek raz wpadłszy w tę otchłań, jeżeli go w porę jaki szczęśliwy wypadek albo własny poczciwy instynkt nie wyrwał, ginął na zawsze dla siebie i dla społeczeństwa, którego zakałą się stawał.

Jeden z moich znajomych, którego nazwiemy panem Janem, skończywszy w roku dwudziestym życia gimnazjum,—i syt nauki i sławy, osiadłszy w pięknej dziedzicznej wiosce, miał sobie za punkt honoru zbliżyć się do tej hulaszczej koterji i został czynnym jej członkiem. Niespełna w rok, nabrał wzorowej wprawy w szczwaniu zajęcy, i mógłby być pierwszym dojeżdżaczem przy najsłynniejszej psiarni. Wysokie to udoskonalenie, okupił wprawdzie opłacając drogo konie i charty od głośnych znawców i lubowników, ale ofiary nie były płonne. Przy tem czestując u siebie i po jarmarkach poczciwych koleżków i korzystając z ich wzajemnych zaprosin, potrafił do tyla zahartować swój organizm, że mógł z rzędu przez dni kilka upijać się nie kładąc się do łóżka, a nawet nie skarząc się na ból głowy. Wszystko to wróżyło mu, że najdalej za lat pięć lub sześć, mógł odłużyć i strwonić cały majątek i stać się jednym z najpożyteczniejszych i najwytrawniejszych pieczeniarzy, młodych i bogatych chłystków.

Wypadek strącił go z prostej ścieżki, do tak pięknego celu....



Typ prowincjonalny.—(Rysował Józef z Mazowsza, wyciął na drzewie Szymborski).

Pan Jan miał bogatą ciotkę wdowę, mieszkającą o mil kilkanaście. Poczciwa kobiecina kochała go jak własne dziecię, a czując się bardzo chorą, wezwała go do siebie przez umyślnego posłańca. Gdyby to było dzisiaj, pan Jan odebrałby zapewne telegramę albo sztafetę a co najmniej list przez pocztę, ale w owym jeszcze czasie chociaż tak niedalekim, sen o telegrafie elektrycznym poczytany byłby za bajkę o żelaznym wilku, a kommunikacja przez pocztę albo uważała się za zbyt urzędową, żeby ludzie prywatni korzystać z niej mogli, albo jako rzecz niepraktykowana nie wzbudzała ufności, albo po prostu była po większej części nieznaną zupełnie niemal z nazwiska, dla większości zamożniejszych nawet mieszkańców okolicy o której mowa. Posłaniec więc jechał albo szedł o mil kilka lub kilkanaście i więcej, i był jedyną rękojmią dojścia listu i odebrania odpowiedzi.

Nie zepsuty jeszcze do tyla, żeby mógł lekceważyć lub zapomnić najbliższą krewnę, pan Jan nie bez żalu jednak myślał o rozstaniu się na czas dłuższy z wesołem gronem młodych i przedrzeźniających młodość towarzyszy. Na pożegnalnej orgji wydanej w wigilję wyjazdu, dawały się nawet słyszeć głosy, odradzające *kochanemu Jasiowi jazdę do tej starej baby*, ale sąd bardziej dyplomatyczny zawyrokował że mogłaby go wydziedziczyć i zapisać majątek ubogiej dalekiej kuzynce, którą wychowała przy sobie, — nie miał więc przynajmniej pod tym względem przeszkody.

Pędząc rozstawnemi końmi do umierającej ciotki, pan Jan miał czas w samotności zastanowić się nad rozmowami i radami koleżków. Dźwięczały mu one gwarnem echem, boleśnie odbijającem się w sercu. Wrażenia dziecinne, czystsze wspomnienia szkolne,—zaprzeczyły zimnym, bezczelnym rachubom i najgrawaniu się z najświętszych uczuć. Po raz pierwszy uczuł jakiś wyrzut, że pozwolił w swojej obecności lekceważyć tę, którą kochał i szanował, oskarżając siebie że śmiano go obrazić w ten sposób. Widok zacnej ciotki witającej go drzącą, ochłodłą ręką, wycisnął mu z oczu łzy zbawienne, które go cudownie obmyły ze zmazy.

Z trwogą i starannością syna, przesiadywał po całych dniach i nocach przy łóżku chorej, dzieląc swe starania z szesnastoletnią Józią, którą ciotka za córkę przybrała. Wśród tych starań, przy pomocy biegłego lekarza, chora powoli przyszła do zdrowia, ale pan Jan nie spieszył się z powrotem do domu.

Gdybym chciał i mógł pójść za śladem śpiewaków miłości, miałbym szerokie pole popisu przed sobą, bo oczywiście oboje młodzi ludzie pokochali się na zabój i był to prawdziwy powód, dla którego panu Janowi tak dobrze było u ciotki. Lecz miłość czysta, prawdziwa a wzajemna— była i jest jednakową zawsze i wszędzie! Wezbrane uczucie, przekraczając po za nałogowe szranki obyczajów i zwyczajów, łamie wszelkie formy i ściera cechy miejscowości. Dwoje szczęśliwych istot w tej uroczystej dobie zachwycenia, oddycha pierwotnem nieskalanem życiem niewinności, jakie musiało być powszechnem kiedyś, kiedyś—i jakie znowu stanie lub stać się przynajmniej powinno powszechnem.... w błogosławionej przyszłości wyśmianej w pieśniach poetów i w marzeniach szczęśliwych kochanków! Nam zaś głównie tu chodzi o chwytanie drobnych przechodowych rysów prowincjonalnego życia—musimy więc pomijać krótkiemi napomnieniami te jaśniejsze ustępy z życia naszych zaściankowych bohaterów, w których niewyróżniają się niczem od ludzi innych okolic i krajów. Poprzestajemy więc na zapisaniu, że ciotka nie miała nic przeciw związkowi pana Jana z Józią, oprócz że był jeszcze za młody. Ale gdy jej wyznał ze szczerością dziecinną zgubne wpływy sąsiedzkie, wolała te śluby przedwczesne, niżeli zatracenie moralne i widoczną zatratę zdrowia, jakie mu groziły. Pod różnemi tylko powodami odwlekała dzień ślubu, a w tem słodkiem oczekiwaniu, pan Jan ani pomyślał o wyjeździe w swoje strony. Gdy zaś w końcu uszczęśliwiona para zaprzysięgła sobie wiarę przed ołtarzem, poczciwa ciotka niechcąc rozstawać się z Józią, postanowiła, żeby pan Jan instalował rządcę w swoim majątku, a sam z żoną przy niej zamieszkał i objął jej majątek, pozbawiając ją kłopotów gospodarskich.

W kilka jednak miesięcy po ślubie, pan Jan potrzebował być osobiście w swoim majątku. Pojechał więc na dni kilka bez żony, starając się zachować najściślejsze *incognito*, żeby uniknąć spotkania z dawnymi kollegami. Lecz w powrocie przejeżdzając przez wieś jednego z głównych przewódców hulaszczej koterji, wpadł mimowolnie w zdradne sieci. Na nieszczęście, właśnie w tym czasie odbywały się kilkodniowe bachanalje sąsiedzkie, pod pozorem polowania. Przy kołowrocie wjazdowym do wsi stał sługa dworski na koniu, zapraszając w imieniu swojego pana wszystkich przejeżdżających znajomych i nieznajomych. Tem bardziej poznawszy pana Jana nie mógł go pominąć, a gdy się wymawiał brakiem czasu i kazał prędzej ruszać, sługus jak strzała pomknął do domu dając znak o tem co zaszło. Kilku pół pijanych biesiadników siadło na koń i dopędziwszy pana Jana, z wymówkami i wyrzutami zapraszali go do powrotu. Uniknąć tych zaprosin nie było podobna, dalszy opór groził brzydką burdą z ludźmi gotowymi na wszystko. Trzeba więc było zejść do układów, na mocy których pan Jan zobowiązywał się dotrzymać im kompanji w ciągu dni trzech i niewymawiać się od kielicha, mając prawo potem wyjechać nawet bez pożegnania *do kochanej cioci i najukochańszej żoneczki.* W rodzaju zaś szczególniejszej łaski dzień ten, chociaż było już około południa, zaliczono mu za dzień cały.

Wpadłszy w tę otchłań, której szkaradę dopiero ocenić należycie potrafił, heroicznie dotrwał na przymusowem stanowisku, starając się tylko ile możności wykręcać się od niektórych kolejowych toastów, wylewając kielichy za okno lub podsuwając je nieznacznie lokajom. Wieczorem dnia trzeciego gotując się do wyjazdu, kazał powóz swój wytoczyć przed ganek i po solennem pożegnaniu, około godziny dziesiątej przed północą, przeprowadzono go tryumfalnie do powozu w którym umyślił przenocować, żeby nazajutrz o świcie ruszyć w drogę.

Lecz zaledwie usnął na dobre, przebudziły go straszliwe gromadne krzyki: *Potop*! *potop*! Ockniony z nagła nie mógł się zorientować, przypomniał sobie tylko że usnął w powozie stojącym przy dworze położonym na wyniosłej górze, na której wylew wód był niepodobieństwem. Niewielka rzeczka i staw kopany, odległy był najmniej o staję. Cicha ale ciemna noc letnia, którą lud nazywa *wronią*, nie dawała mu nic dojrzeć w około, ale powtarzające się krzyki: *Potop! potop!* złączone z głosami wyrzekań i płaczem dzieci, oraz plusk wody zaświadczający o rozpaczliwem szamotaniu się płynących czy tonących, wprawiły go w podziw i pewne przerażenie. Chwyciwszy za krawędź powozu przekonał się że był zalanym do koła, co tem bardziej wzmogło jego zdziwienie i nakoniec przyprawiło o trwogę. W tem z jednej strony posłyszał znajome głosy, wołające go i wzywające do ratunku. „Rzuć się w prawo, wołano, i kieruj się do nas, jesteśmy w miejscu bezpiecznem!“ Niewiedząc więc sam co robi, na odgłos tych nawoływań skoczył do wody i brnął po pas w stronę z której go wolano, niemając zresztą potrzeby uciekać się do pływania. Po niejakim czasie, natknął się na wznioślejszy grunt suchy, podano mu rękę, stanął bezpiecznie i w tej chwili pośród głośnych okrzyków i oklasków, odsłonione latarnie oświeciły rzęsiście cały obraz! Stał na grobli otoczony całą zgrają hulaków, uszczęśliwionych z dziwacznego pomysłu i wyrządzonego figla odszczepieńcowi bożka ich — Bachusa!

Rzecz miała się następnie: Po odprowadzeniu na stronę służących pana Jana, stoczono powoli gdy usnął, powóz jego do stawu, po same krawędzie drzwiczek. Zwołana przedwcześnie gromada włościan całej wsi z żonami i dziećmi, otoczyła staw do koła i za danym znakiem wydawała umówione okrzyki: Potop! potop! kilku ludzi i kilka wyżłów puszczonych na staw, jakoteż ciskane do wody kamienie i drewna, sprawiały ów plusk naśladujący ruch powodzi. Ciemność nocy i nagłe przebudzenie po kilku nocach bezsennych, nie dawały poznać tej mistyfikacji i pozwoliły doprowadzić urządzony dramat do ostatecznego rozwiązania.

Pan Jan musiał i ten *psi figiel* przyjąć za dobre, unikając dalszych scen nieprzyjemnych. Śmiał się więc sam z siebie razem z dawniejszymi koleżkami, przyjmując w duchu doznaną obrazę za karę zasłużoną nieostrożności, z jaką dał się wciągnąć przed tem do podobnego towarzystwa. Lecz zanim zmienił odzienie i ogrzał się herbatą, bo miniona północ uwalniała go od pijatyki, świt ranny począł rumienić się po krótkiej nocy letniej, pospieszył zatem w drogę, żegnając na długo rodzinną okolicę.

Jan Prusinowski.

KUKUŁKA.

(Fraszka).

(Dokończenie.—Patrz Nr. 2).

Kukułka po krótkim namyśle odpowiedziała:

— Ku-ku-ku-ku!

— Widzisz tatuniu, jak go czernisz, tego biednego Symforcia! wtrąciła uradowana Filipcia. Wyraźnie odpowiedziała Fi-li-pi-nę!

Pan Piotr pytał dalej:

— Cóż mam uczynić wierna ptaszyno! Czy mam temu nikczemnikowi, który tylko po bilardach się wala, dać w kark kułaka i za próg z nim zkąd przyszedł, czy dać mu Filipcię za żonę?

Odpowiedź była trudna—jakoż nie nastąpiła tak prędko. Długo namyślała się kukułka, bo też i zapytanie było złożone z samych wyrazów dosadnych. Filipcia założyła formalne veto przeciw podobnym zapytaniom, Paweł uśmiechał się jakby kto po sercu go głaskał. Wreszcie stanęło na tem, aby zapytać czy dać Filipinę?

— *Ku!* odpowiedziała kukułka co znaczyło *dać.*

Na tę odpowiedź jednozgłoskową zmarszczyło się czoło pana Piotra. Splunął i rzekł:

— Tam do kata! nigdy jeszcze nie słyszałem, aby kukułka jednogłoskowemi słowami kukała. Zawsze kuka ona do pary, a nigdy nie krzyknie *ku!*... Szczególna to musi być kukułka!

— Ależ tatuniu, to przecież nie taka zwyczajna kukułka! odparła żywo Filipcia a oczy jej zaiskrzyły się.

Pan Piotr milczał chwil kilka i patrzał na Pawła. W oczach jego malowało się rozrzewnienie. Nawet łzy duże jak groch cukrowy, stoczyły się po jego twarzy. Wreszcie odgarnął włosy i zawołał donośnie:

— Córko moja, dziecię moje najdroższe. Nic nie mam przeciw woli nieba! Jeżeli wzajemnie kochacie się bez żadnej przymieszki innych myśli, to mego błogosławieństwa nie mogę wam odmówić. Symforcio jest wprawdzie według mego wi-dzi-mi-się, łotrzyk modnego fasonu, jakich wiele uwija się po bruku warszawskim i Saskim Ogrodzie. Próżniactwo i przyswojone tym sposobem niedołęztwo, jest dzisiaj u nas zawsze zbrodnią. Ale może być, że miłość odmieni go!

Filipcia szlochała i przyobiecała, że ona sama odmieni go.

— Dalej, mówił dalej ojciec podnosząc głos jeszcze wyżej, dalej muszę ci moje dziecię przy świadkach to jest panu Pawle i kukułce tam w dziuple — powiedzieć, że opinia co do mego majątku jest zupełnie fałszywą. Jest to moją tajemnicą, ale tajemnicę tę muszę wam wyjawić, abyście się nie łudzili że znajdziecie krocie tam, gdzie was tylko praca i to ciężka praca czeka!

Grobowe milczenie panowało pod jesionem. W dziuple konaru słychać było jakby coś sapało. Pod rąbkiem sukienki w zielone paski, biło serce gwałtownie. Pan Piotr mówił dalej:

— Otóż tajemnica moja jest taka. Przed kilkoma laty, gdy mi się źle powodzić zaczęło, byłem zmuszony sprzedać połowę włóki gruntu przyjacielowi memu panu Bartłomiejowi, który jest przedsiębiorcą bruków miejskich. Ponieważ niechciałem aby z upadku mego wrogi natrząsali się, zrobiłem ten kontrakt skrycie. Potem znowu zaplątał się p. Bartłomiej w proces z miastem o zawalenie się kanału i przy tej sposobności niesłusznie nawet na zapłacenie kary skazany został. Prosił więc mnie, abym o kupionym przez niego gruncie nie wspominał i tak postępował, jakby to moje było. Sprzedaż więc kawałka tego gruntu dla kolei żelaznej, jako też i place pod nowe domy przy nowej ulicy, wszystko to poszło na korzyść p. Bartłomieja pod moją tylko firmą! Ja tam w rzeczywistości jestem uboższy o połowę nieruchomego mego majątku!... Jeżeli więc praca uczciwa was niezastrzeże, jeżeli w pocie uszczuplony zagon ojczysty dalej uprawiać chcecie... to ja nie odmawiam wam mego błogosławieństwa.

Słowa te sprawiły wielką sensację. Pan Piotr wykrył straszną tajemnicę!

Najprzód Filipcia zalała się rzewnemi łzami. W dziuple rodowej kukułki dał się także słyszeć jakiś głos niezwykłego sapania. Paweł jeden tylko stał niezmieniony, tylko był coś zamyślony.

Za chwilę rozeszli się wszyscy. Pan Piotr zaprosił Pawła na wieczór do siebie.

Filipcia popłakała trochę, ale serce uspokoiło się. Pomyślała sobie:

— Symforcio jest przecież urzędnikiem, może będzie miał awans. Z ogrodu coś także kapnie, a zresztą dla kojarzącej się pary lada kącik dostateczny!

Tak myśląc spotkała nagle Symforcia, który niezwykłą jakąś drogą wyszedł z pomiędzy gęstwiny przy jesionie.

— O mój drogi! Mój jedyny! szczebiotała Filipcia, rzucając się mu na szyję, czy wiesz że kukułka wykukała nam szczęście i ojciec czeka nas z błogosławieństwem!

— Tak.... ale widzisz kuzynko, jąkał Symforcio, którego marynarka mocno na ramionach pajęczyną była powalana — tak, moja droga... widzisz... ja myślę.... po cóż tak spieszyć się... zresztą, mówiąc prawdę.... moje okoliczności i położenie nakazuje mi odłożyć tę sprawę na później... co jednak ciebie kuzynko bynajmniej nie wiąże! Jeżeli chcesz iść za mąż, naprzykład, gdyby Paweł....

— To ty mnie nie kochasz! krzyknęła Filipcia i padła jak nieżywa na ziemię.

Symforcio nie wiele troszczył się o Filipcię. Dał od niej susa jak chart angielski i przesadził przez parkan.

W wieczór był wielki lament w domu pana Piotra. Filipcia mdlała co pięć minut, a pan Piotr szerokim krokiem chodził po izbie i co minuta wołał głośno: Łotr! Próżniak! Niedołęga!

Ukończywszy roboty w ogrodzie, nadszedł Paweł.

Pan Piotr mrugnął na niego, aby z nim wyszedł do ogrodu. Tam przy świetle księżyca opowiedział mu cały przeciąg romansu i obaj śmieli się do rozpuku z ostatniego aktu komedji, odegranej tak fatalnie przez Symforcia, eleganta z Saskiego ogrodu i pierwszego bilardzisty u Loursa.

— Już nasza wygrana, kochany Pawle, szepnął pan Piotr sąsiadowi do ucha, tylko trzeba jej dać pierwej wypłakać się. Każda lekkomyślność potrzebuje czasu do zabliźnienia rany.

— Ale jeżeli rzeczywiście jesteście w potrzebie, to ja mam u siebie coś grosza — jąkał uszczęśliwiony Paweł.

— Uchowaj Boże! Pieniądze są w skrzyni, tylko pst o tem! Pieniądze to ścierwo, do którego lecą tylko wrony i gawrony.

I rzeczywiście stało się jakoś, że za kilka miesięcy znikł parkan dzielący dwa ogrody, a od miedzy Pawła przybyło jeszcze kilka włók dobrej ziemi, gdzie prześliczny nowy ogród się zazielenił.

Filipcia jedzie teraz co niedzielę do Łazienek własnym koczykiem, który Paweł nabył od zubożałego panicza. A gdy wieczorem księżyc na niebie zejdzie, odzywa się od jesionu kukułka, którą tylko Filipcia sama rozumie, co zapowiada......

KRZYŻ NAD DROGĄ.

Z pochyłej chatynki gdzie szumi dąbrowa,
Gdzie strumyk kryształem się wije,
Wychodzi niewiasta uboga i wdowa,
A dziecię ją trzyma za szyję.
Pod okiem matczynem, pod brewką sieroty,
Łza błyszczy i świeci się sobie;
Lecz nie ma w niej szczęścia, nie widać ochoty,
Bo w duszy tak smutno jak w grobie.
Już trzy dni nie jedzą ni chleba, ni soli,
Dziś krówka im padła przed progiem;
Więc wyszło biedactwo—ot, losom złym k'woli,
Skarzyć się przed ludźmi i Bogiem.
Za wzgórkiem nad drogą sztukają do chaty,
Błagając o litość, kęs strawy;
A w chacie żył zdawna człek możny, bogaty,
Syt mienia i uciech i sławy.
Gdy ujrzał z komnaty, że wdowa go błaga,
Od gniewu aż zadrżał niecnota;
I mimo, że biedna, że głodna i naga,
Psom wyszczuć ją kazał za wrota.
Za borem, za lasem, pan jedzie karocą,
Rumaki aż ogniem tryskają;
Przybory od srebra i złota migocą,
Służalce się w dumę wzbijają.
O! pewno nie minie ubogiej kobiety
Ten kogo tak Stwórca obdarzył,
Lecz stanie, pocieszy, wspomoże.... niestety!
Pominął i jeszcze znieważył.
W wspaniałej świątyni dzwon jęknął z wieżycy,
A ludu się cisną gromady
Na odpust przed ołtarz do Bogarodzicy,
Z modłami pociechy i rady.
Żebrzących, kaleków, wciąż liczba podrasta,
Ich szereg się wzmaga a wzmaga,
Więc wśród nich i nasza z dzieciątkiem niewiasta
Stanęła i o grosz też błaga.
Lecz dziady przybyszów nie cierpiąc w swem gronie,
Kijami i zębem zgrzytnęli;
A kiedy ktoś datek chciał złożyć w jej dłonie,
Z fukiem ją zazdrośni wypchnęli.
I poszła wzgardzona od ludzi i świata
Jak widmo nieszczęścia lub nocy,
I biegnie i pędzi jak anioł skrzydlata,
Potężna jak siła wszechmocy.
I poszła—a dziecię zgłodniałe sinieje,
Duch śmierci w oczęta mu świeci,
Raz po raz na matkę to wejrzy, to mdleje,
Bo w krótce do Nieba uleci.
I poszła—idzie, lecz dokąd? gdzie?—nie wie,
Aż rozpacz zawrzała jej w łonie!
W tem, patrzy, nad drogą... toć Chrystus na drzewie
Rozpięty, w cierniowej koronie.
Toć Chrystus, co wyrzekł: ,,kto do mnie kołacze,
Drzwi temu natychmiast otworzę;
Kto we mnie zaufał ten nigdy nie płacze,
I Ojciec mu zawsze pomoże."
Jak lwica się rzuca pod krzyża podnóże,
I dłońmi go swemi oplata;
Źrenice podnosi ku Niebu, ku górze,
Modlitwą za gwiazdy ulata.
I trzęsie znamieniem zbawienia co siły,
Aż trzeszczy i pęka coś w ziemi,
Aż jęk się dobywa jakoby z mogiły,
Jak zgrzyty pomiędzy zmarłemi.
Nieznacznie, powoli, krzyż upadł jak długi...
O Boże! coś pod nim się świeci;
To garnek ze złotem, ze srebrem ten drugi,
A z miedzią i z pismem ten trzeci.
Zdziwiona niewiasta, spojrzała do koła,
Nie wierzy sen li to, czy jawy;
Nie ufa czy Bóg jej z tem przysłał anioła,
Czy może nieczyste to sprawy.
Lecz wziąwszy dziecinę i pismo, stroskana
Czemprędzej wróciła się wdowa;
A kiedy oddała je do rąk kapłana,
On takie przeczytał jej słowa:
,,Ktokolwiek te skarby wynajdzie tu kiedy,
Niech bierze i niech się weseli;
Niech sobie pomaga, niech nie mrze od biedy,
I niech je w ten sposób podzieli:
Za złoto egzekwie żałobne wyprawi,
Miedź rozda pomiędzy żebraki,
A srebro nazawsze dla siebie zostawi;
Ot, cały testament mój taki."
Jak słońce, gdy jasnym promieniem oświeci
I wody i lasy i góry,
Jak orzeł, gdy z skały pod niebo wyleci,
I pędzi w obłoków lazury,
Tak wdowa w tej chwili swym wzrokiem rzuciła
Na jeszcze żyjące jej dziecię!
Testament sumiennie w całości spełniła,
I była szczęśliwą na świecie.

Franciszek Gumowski.

ŚNIADANIE POD POMPĄ.

Obrazek miejski

(Ciąg dalszy.- Patrz Ner 2).

Zbytecznem byłoby mówić, że ów Bronek, który się zdecydował na przyjęcie wyznania odkrywcy mniemanej prawdy, a raczej twórcy dosyć dowcipnego paradoksu, nie uczynił tego w przekonaniu, że postępkiem takim skruszy kopją w obronie tegoczesnego światła i postępu. Podjął się iść na sniadanie pod pompę dla tego, że to postawiono za dowód jakiegoś rodzaju brawury, zupełnie tak samo jak w innych czasach dla dania dowodu odwagi, podejmowano się chodzić o północku do grabarni lub do kostnicy. Chciał okazać, że nie lęka się oczu ludzkich, i że w obec całego miasta gotów jest zrobić swoje, zwłaszcza kiedy to co miał zrobić nie było ani złem ani zdrożnem, ale jedynie było niezwyczajnem.

Zdawało mu się też, że nic łatwiejszego nie będzie jak przyjść pod pompę, usiąść na ławce i zażądać flaków albo kapusty i nie wiele się kłopotał przyjętem zobowiązaniem.

Nazajutrz około południa toż samo grono zebrało się i tryumfalnym pochodem ruszyło na Stare Miasto. Bronek postępował na czele, improwizator szedł za nim i kładł mu w uszy strofy ku czci jego na prędce komponowane, reszta towarzystwa sunęła się gęsiego po wązkim chodniku Ś-to-Jańskiej ulicy.

Gdy stanęli wreszcie na placu, na którym miał dać dowód odwagi cywilnej, Bronek spoważniał nagle.

— Panowie! — rzekł stając i obracając się do kolegów, — czy myślicie aż na miejsce takim sznurem powlec się za mną.

— A jakże — odpowiedziano, — otoczymy cię kołem i patrzeć na ciebie będziemy.

— Na to nie przystaję — odrzekł Bronek stanowczo, — podjąłem się iść na śniadanie pod pompę i pójdę. Nie podejmuję się jednak brać udziału w zbiorowem widowisku jakie wyprawić zamierzacie, nie podejmuję się obrażać tych poczciwych ludzi co tam jedzą, robieniem rozmyślnem komedji z ich objadu.

— Więc cię widzieć nie mamy prawa?...

— Owszem, ale pozostaniecie w takiej odległości, żeby to nie zwracało uwagi... Ja daję dowód że gdyby mnie rzeczywiście nie stać było na inną biesiadę jak tam, tobym tam poszedł i nie wstydziłbym się tego, bez względu na to coby ludzie powiedzieli. Dlatego postępować bedę tak, jakbym rzeczywiście był w tem położeniu...

Współtowarzysze Bronka odpowiedzieli nową wiązką dowcipów na to oświadczenie, zastosowali się jednak do jego życzenia i pozostali z daleka, gdy on tymczasem powolnym krokiem zbliżał się do pompy.

Szedł prosto przed siebie, nie zwracając uwagi na nikogo, czuł jednak, że na niego patrzą i dziwnego jakiegoś doznawał wrażenia.

— Gdybym się był przebrał za wyrobnika — mówił do siebie, — gdybym usmolił sobie twarz i ręce, niby mi nie było łatwiejszego jak tam pójść. Ale żem ubrany inaczej jak oni, więc potrzebuję pewnego panowania nad sobą, żeby tego dokazać... Jakiż ztąd wniosek, jeżeli nie to, że jesteśmy niewolnikami sukni?... Tym ludziom takby było nieswojo w której z pierwszych restauracji, jak mnie pod pompą. Jesteśmy niby panami świata, a każdy z nas ma swój kącik, swą sferę, w której siedzieć musi jak w klatce, za którą ruszyć mu się trudno... Tamten miał słuszność, jest to przesąd.

Z takiemi myślami walcząc, wymógł na sobie, że się nie cofnął i znalazł się pośród takiej grupy głodnych, jaką na swym obrazku przedstawił Piwarski.

Dokoła patrzono na niego z podziwieniem, on nie śmiał podnieść oczu na obecnych. Odwaga jego nie sięgała tak daleko, ażeby patrzeć śmiało jak na postępek jego, ludzie spoglądają.

Siadł na ławie obok jakiegoś tracza i głosem o ile możności najdonośniejszym a jednak mimo to słabym, zdołał zaledwie wymówić:

— Prosze o porcją...

Nie dopowiedział odrazu czego. Brakło mu głosu.

Siedzący przy stołach poodejmowali łyżki od ust i przypatrywali mu się z razu z podziwieniem, później zaś z jakąś litością.

— Biedaczysko musi być głodny, — rzekła z cicha jedna z kobiet do siedzącej obok...

— Osłabł z głodu widocznie, kumo, — odpowiedziała jej sąsiadka.

Właścicielka podpompowego zakładu z początku podobnież myślała, że jakiś elegancik myśli sobie zażartować z jej instytucji i już się szykowała przywitać go potokiem niedobieranej mowy, którą w razie potrzeby możeby była przypieczętowała owem narzędziem, do którego improwizator nie mógł znaleść rymu. Widok jednakże Bronka, jego nieśmiałość, jego zachowanie się prędko wybiły jej tę myśl, i ona także zaczęła uważać swego niezwyczajnego gościa za człowieka, którego nie żart żaden, ale głód rzeczywisty i niemożność pójścia gdzieindziej przyprowadziły do niej.

I stał się fakt niesłychany pod pompą.

Dostarczycielka taniego jadła zwykle niezbyt uprzejma dla swoich gości, którzy naturalnie płacąc po sześć lub dziesięć groszy nie mają prawa żądać grzeczności za złotówkę, a zresztą nie mieli gdzie się do niej przyzwyczaić, stała się niezwykle nadskakującą i uprzedzającą dla Bronisława.

Wynalazła gdzieś naprędce przedmiot nieznany w jej zakładzie. W porządnej kuchni uchodziłoby to za ścierkę, pani Maciejowa uważała to pewno za najwykwintniejszą serwetę, i wziąwszy ją przyszła przed niewiedzącego jak się znaleść Bronka, własnym rękawem starła stół przed nim, przykryła go tym improwizowanym obrusem i zapytała:

— A czego pan życzy?... kapusty... flaków.... grochu...

— Kapusty, — odpowiedział Bronek.

Wyszorowawszy ze szczególną starannością miseczkę, łyżkę, nawet warząchew, którą nabierała z kotła, nałożyła mu porcją sowitą i postawiła przed nim, kładąc przytem nóż i cały bochenek chleba, a *diskretion*, jak w najpierwszej restauracji.

— Tyle przygotowań, tyle zabiegów, tyle nadskakiwania — myślał Bronek, — ciekawym czy to ze spekulacji, czy z uszanowania dla moich sukien, czy baba może rzeczywiście za głodnego mnie bierze i lituje się nademną?...

Zabrał się do jedzenia, skosztował i... nie skrzywił się.

Nie był wprawdzie po polowaniu, ażeby mu wszystko co się nawinęło smakować mogło, więc nie sądził zapewne, żeby podana mu kapusta miała prawo figurować na jakim kongresie gastronomów, zwłaszcza że pod owe czasy gastronomowie swoich zebrań nie nazywali jeszcze kongresami. Mimo to jednak musiał przyznać, że kapusta którą mu dano nie miała wstrętnego smaku, a choćby nawet czuł jakąś resztę odrazy do miejsca i kotła z którego pochodziła, starałby się był przezwyciężyć ją, przez wzgląd na gościnność, z jaką go pani Maciejowa przyjmowała.

Jadł, nikt z obecnych nie śmiał mówić do niego, niektórzy tylko z cicha szeptali z sobą. Nigdy tak spokojnie i przyzwoicie nie bywało pod pompą.

Bronek położył sobie widać za punkt honoru zjeść co mu dano do ostatka i przy pomocy chleba dokazał sztuki.

— Naturalnie — pomyślał, — że już dziś żadnego obiadu jeść nie zdołam. Ciekawym, ile mnie to kosztować będzie?...

Napił się wody, którą przed nim pani Maciejowa postawiła w czasie jedzenia, w najpiękniejszem jakie miała szklannem naczyniu, obtarł usta ową serwetą i śmielszym już głosem, widząc że próba zbliża się do końca, zapytał:

— Proszę pani, ileż się to należy?..

Pani Maciejowa podbiegła:

— Dziesiątkę, proszę pana.

— Dziesiątkę — pomyślał Bronek, — widać tu każdego za dziesiątkę tak przyjmują.

I przyszło mu na myśl odpowiedzieć:

— Proszę pani ja myślałem, że tutaj po sześć groszy...

Gospodyni zakładu utwierdziła się najzupełniej w swem przypuszczeniu słysząc te wyrazy. Panicz widać nie miał więcej pieniędzy i był głodny.

— Mój Boże! takie paniątko, — pomyślała ze współczuciem.

I niedając mu skończyć, odrzekła:

— O! panie... cóż to szkodzi... to pan te cztery grosze inną razą dopłaci... albo i wszystko jeżeli pan chce... ja panu wierzę...

W pierwszej chwili przychodziło Bronkowi na myśl wydobyć rubla i dać go poczciwej kobiecie, nie zrobił tego jednakże.

— Któż wie — pomyślał, — czy jej nie będzie milej, myśleć że nakarmiła głodnego, niż dostać rubla i przekonać się, że sobie z niej żartowałem..

Wydobył z kieszonki od kamizelki przygotowane sześć groszy, i rzekł:

— Bóg zapłać, pani, cztery grosze zwrócę przechodząc, kiedy mi już pani tak ufa.

— O! mnie tam o nie wcale nie pilno.... — odpowiedziała Maciejowa.

Bronisław odszedł od pompy i dopiero odchodząc spostrzegł ilu się w koło zgromadziło przypatrujących.

Przedzierając się przez tłum, słyszał że rozmowa pod pompą stała się gwarniejszą i żywszą. Domyślił się, że był jej przedmiotem i był przekonanym, że nim na długo pozostanie. To ambitne przekonanie było jednakże przesadzonem. Pod pompą rozmawiano o nim przez chwilę, stary tracz co siedział koło niego podniósł się i poszedł nawet za nim, tak że Bronisław tego nie uważał, ale wkrótce przestano mówić o wypadku i w dwie godziny potem śmiano się niedowierzająco, gdy pani Maciejowa jakiejś wyrobnicy przyganiającej jej potrawom odpowiadała:

— Patrzajcie — no ją! jaka mi wybredna!... a to całe Stare-Miasto widziało, że u mnie panowie jadają!.. i nosem tak nie krzywią jak ona.

*
* *

Odszedłszy od pompy Bronisław miał zamiar połączyć się z kolegami, tak pstre jednak otaczało go grono taki tłum mu towarzyszył, że koledzy owi, którzy przypatrywali się z daleka całej scenie, nie chcieli spotykać się z nim na ulicy i weszli do winiarni, przekonani, że ich widzi i wstąpi do nich.

Bronek widział ich rzeczywiście i byłby zrobił jak przewidywali, gdyby sobie nie przypomniał, że ma dokoła mnóstwo świadków tego swojego długu, i że wchodzić do handlu w takim położeniu, było to dać o sobie wcale nie najlepszą opinją, a może nawet narazić się na jaką czynną zaczepkę.

Widział się tedy zmuszonym wyrzec się zamiaru pójścia do tych, co na przyjęcie go szykowali huczną owacją i poszedł w jedną z bocznych ulic.

W miarę jak się oddalał od Starego-Miasta, tłum który mu towarzyszył przerzedzał się i zmniejszał, tak że w końcu już tylko jeden stary tracz z piłą zawieszoną przez plecy starał się dotrzymywać mu kroku, chociaż utykał na prawą nogę, a i wiek niekoniecznie mu pozwalał dorównywać młodemu. Był to przyjemnej fizjognomji czerstwy starzec, z białym obfitym i długim włosem. Idąc nie spuszczał oka z Bronka, — widocznie nie przypadkiem szedł za nim.

Bronisław aby uwolnić się od towarzystwa, które go odprowadzało z tego pamiętnego śniadania, coraz winną skręcał ulicę i takim sposobem znalazł się po pewnym czasie w wązkiej części Podwala, zkąd przez ciasną przechodnią uliczkę zamierzał się wydostać na Długą.

W tej chwili idący ciągle za nim starzec z piłą przyśpieszył cokolwiek kroku, i wkrótce znalazł się obok niego.

Wiemy już, że podczas swego śniadania Bronek mało zwracał uwagi na stołowników pani Maciejowej, nie tylko więc w idącym obok nie poznał swego współbiesiadnika, ale nawet nie zwrócił na niego uwagi.

Przeszedłszy kilka kroków w milczeniu obok Bronka, stary tracz wyszukał wreszcie w myśli wyrazów któremi się miał odezwać do niego.

Zdjął swoją kwadratową czapkę z barankiem, ukłonił mu się i rzekł:

— Paniczu.... niech to będzie bez urazy pańskiej....

Teraz dopiero Bronek zwrócił uwagę na niego i nie domyślając się bynajmniej o co mu chodzić mogło, spojrzał tylko na jego twarz przemawiającą czerstwością, trzeźwością, zdrowiem i pogodą umysłu, i niedając mu kończyć rzekł przedewszystkiem:

— Ależ nakryjcie głowę, panie traczu.

Starzec zwolna usłuchał wezwania i zaczął znowu.

— Jeżeli to pana nie obrazi, ja miałbym mały interes....

— I owszem ... — odrzekł Bronek uprzejmie — jestem gotów.... słucham....

— Ale bo to dosyć długa historja — odpowiedział stary, — a na dworze dość zimno.... i gdyby to nie było z nadużyciem grzeczności pańskiej, tobym prosił na chwilkę do mojej stancji....

Propozycja zaciekawiła Bronisława. Sądził z początku, że starzec bierze go za kogo innego.

— Wiecież kto jestem, panie traczu? — zapytał, — możeście się omylili ...

— O nie, panie, ja się nie mylę.... i jeżeli pan taki łaskaw....

Zaciekawiony jeszcze bardziej tą pewnością i ujęty grzecznością starca, Bronek odpowiedział.

— Mróz znów nie taki wielki i moglibyśmy tu porozmawiać, chyba że gdzie blisko mieszkacie.

— Niedaleczko, tutaj w domku Elerta.... w podwórzu....

Poszli razem do kamienicy liczącej więcej mieszkańców, niż większa połowa naszych miasteczek.

Przez drogę starzec nie mówił prawie nic, przypatrywał się tylko Bronkowi i myślał.

— Poczciwy jakiś chłopiec.... ani mu przez głowę nie przeszło wstydzić się iść z prostym człowiekiem przez ulicę.

Ta uwaga była słuszną. Bronek w istocie nie widział w tem ubliżenia dla siebie, że się w jego towarzystwie znajdował i był w tym względzie wyższym od niezliczonego mnóstwa płytko-mózgich paniczów, którzy uważaliby się za skompromitowanych ostatecznie, gdyby obok swego paltota pozwolili iść przez ulicę niekoniecznie paczulą pachnącemu kożuchowi.

W krótce potem byli w maleńkiej lecz porządnej i ciepłej izdebce starego.

— A teraz, kiedy już panicz taki dobry — rzekł tracz, — niechże się tu pan rozgości i rozgrzeje, bo u mnie chociaż ciasno, ale Bogu dzięka ciepło i czysto, ja tymczasem pokrótce opowiem, zkąd mi przyszła śmiałość fatygować tutaj panicza....

Bronek usiadł na drewnianym stołku i oczekiwał rozwiązania zagadki.

— Znać to po panu, że pan dobry człowiek.... — zaczął starzec.

— Oh! panie traczu—odrzekł z uśmiechem Bronek, — nie mam ja intencji być złym, ale wam, jako człowiekowi w wieku i doświadczonemu najlepiej wiadomo, że pozory często mylą i że pierwszemu spotkanemu ufać nie można.

— Pan dobry człowiek — mówił dalej stary,— bo się pan biednych ludzi niewstydzisz.... już ja to wiem. Dla tego chciej mnie pan posłuchać. Jestem stary i od dziecka byłem biedny, żyłem tylko z pracy rąk. Przy pracy zostałem kaleką. Raz mi kłoda spadła na nogę i zdruzgotała ją, od tego czasu kuleję, mimo to jednak nie przestałem pracować i nigdy nie wyciągałem ręki. Przyzwyczaiłem się poprzestawać na małem. Jadam sobie pod pompą, nie piję, fajki nie palę, zarobku mi wystarcza, a zdrowie mi służy.

(*Dokończenie nastąpi*).

SŁÓWKO O POWINSZOWANIACH

NOWOROCZNYCH.

Zwyczaj składania sobie powinszowań w dzień Nowego Roku, jest niezmiernie starożytny: znali go Rzymianie, znają wszystkie nieledwo ucywilizowane narody. Przy czem sposób składania tych powinszowań, udzielania sobie nawzajem rozmaitych upominków, oraz inne obrzędy i ceremonje z dniem tym związane, w każdym nieledwo kraju odmienne noszą cechy, w inny odbywają się sposób.

Szczegółowy opis tych zwyczajów, przedłużyłby nad zamiar nasz artykuł.

Tym razem więc ograniczym się tylko krótką wzmianką o powinszowaniach noworocznych, jakie mają miejsce u nas w Warszawie.

Powinszowania te jak wiadomo nie są ustne, nie deklamują się, ale drukują się na ćwiartce papieru, z mniej lub więcej zgrabną do koła obwódką. Zaledwie potrzebujemy dodawać, że drukują się one wierszem. Biedne Muzy! do jakichże to was posług często nie używają! biedniejsi jeszcze poeci, którzy te arcydzieła na papier wylewacie! lecz najbiedniejsi pono panowie redaktorzy, urzędnicy, &. &. &. na których ta poetyczna manna w poranku noworocznym się posypie! Winszuje wam szczerze takich względów, ale nie zazdroszczę.

Nie zazdroszczę zaś nie dla tego, że musicie tyle częstochowskich arcydzieł czytać, bo pewny jestem że nie zadajecie sobie tego trudu,—ale dla tego, że te uniżone, słodziuchne powinszowania, są to zdradliwe syreny, które do waszych kieszeni się umizgają. Nie przeczytać powinszowania wolno wam, ale nie okazać winszującemu *grzeczności*, tego sumienie wam nie pozwala.

Jakiego zaś rodzaju jest owa grzeczność, odpowiem wam słowy roznosiciela Kurjera Codziennego:

„Więc nie tracim nadziei,
Że w dniu owym z kolei,
Za głos do was wzniesiony,
Dobędziecie .... portmony."

Ostatni wyraz ma wprawdzie trochę kulawe zakończenie, ale kto wie czy ta *licentia poetica* nie stała się z umysłu? Wszak wiecie o tem przysłowiu: „jakie drzewo, taki owoc," albo o tem: „jaka mać, taka nać." Owóż roznosiciel Kurjera słusznie sobie wyrozumował, że z *portmony* należy oczekiwać daleko wiekszego datku, aniżeli z jakiejś tam *portmonetki.*

Ale wracajmy do przerwanego toku. Więc owa grzeczność szturmująca do waszej „pamięci" i „portmony," chociażby nawet dowcipnemi słowy roznosiciela Gazety Warszawskiej:

„A gdy kapnie jakiś datek
Człek się pewnie nie zagniewa."

była okraszoną,—ta grzeczność powiadamy, nie jednemu z was kością w gardle stanie:

— „A niech licho porwie, mówicie, człowiek ledwie oczy przetrze, a tu dzwonią lub pukają jedni za drugim, stróż, roznosiciele, bryftregry, woźni i t. d. i t. d. a każdy słudziuchny jak lukrecja, kłania się uniżenie w progu i sunie ci w rękę poezje, kończące się jednakowym sensem moralnym: daj, jeżeli chcesz abyśmy ci bramę prędko otwierali; daj, jeżeli lubisz czytać w parę godzin po wydrukowaniu gazety; jeżeli listy chcesz otrzymać zaraz po rozebraniu na poczcie; jeżeli... jeżeli i tak bez końca. I powiedźcie panowie, czy to nie haracz na nasze kieszenie? Kto zwyczaj ten wymyślił, niech go...."

Powoli, moi panowie. Ubolewam szczerze nad waszemi kieszeniami, życzyłbym nawet aby w dzień Nowego Roku pieniądze wasze mnożyły się i rosły jak na drożdżach, ale co robić? złe się już stało i niepodobna go odrobić. Zresztą kto wie czy to jest istotnie tak wielkiem złem? Ludzie dopominający się kolendy są istotnie bardzo nawet biedni, wielu z nich z lichych kilku rubli pobieranych miesięcznie, musi utrzymać żonę, dzieci, dom, musi zapłacić komorne, ubrać się przyzwoicie i tyle innych ponieść wydatków, które jakkolwiek drobne i nic nieznaczące na pozór, cały jednakowoż ich zarobek pochłaniają. Ludziom tym zaiste słusznie należy się i kolenda, i dla tego nikt jej prawie nie odmawia. Bo i to zważyć jeszcze sobie należy, że te powinszowania nie przychodzą im darmo, a druk i papier, na którym wydrukowane, dość drogo u nas kosztują.

Z drugiej znowu strony sprawiedliwość wyznać nam każe, że kolenda ta rzadko kiedy na uczciwy użytek obróconą zostanie.

Ludzie porządni, wstrzemięźliwi, składają ją na ołtarzu ogniska domowego, oddają do rozporządzenia żonie, która powinna być ich szafarką i powiernicą, lub sami używają na niezbędne domowe potrzeby. Ale takich jest u nas mało, bardzo nawet mało. Zwykle cała kolenda a przynajmniej znaczna jej część, tonie wraz z rozumem kolendującego w kieliszkach i kuflach szynkowni lub bawarji. Złe to tak się u nas zakorzeniło, że powstawać na nie, to jedno i to samo co rzucać groch o ścianę. To też i my pozostawiamy pijaków w pokoju, a tylko najgorętsze składamy im życzenia, aby z dniem Nowego Roku osłonili się tarczą wstrzemięźliwości przeciw wszelkim pokusom szynkowo-bawarjowo-knajpowo-handlowym. Skoro to nastąpi, prawie na pewne przepowiedzieć im możemy, że kolenda, którą w roku da Bóg 1869 otrzymają, stokroć pożyteczniejszą dla nich będzie, niż pieniądze, które dotychczas otrzymywali.

Grosz bowiem rozsądnie użyty jest bogactwem, — przepity — kradzieżą własnej kieszeni. *Mścisław Kamiński.*

ROZMAITOŚCI.

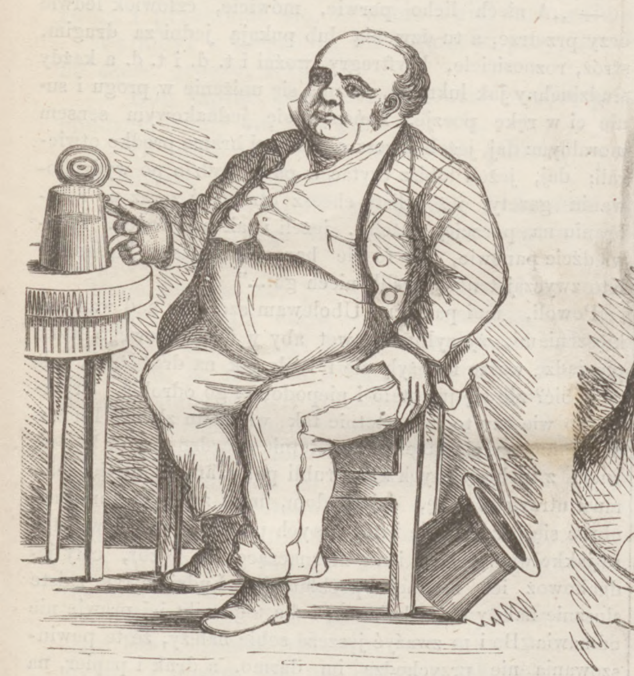
— **Przywiązanie psa.** Do wielu przykładów, świadczących o zmyślności i wierności tych zwierząt, przybywa jeszcze jeden nie mniej zadziwiający i rzadki. W Kassel umarł jeden majętny obywatel, którego trumnę zaniesiono uroczyście do rodzinnego grobu. Nieboszczyk miał ulubioną sukę Lussi, z którą chodził na polowanie i która prawie nie porzucała go ani na chwilę. Przez całą chorobę nie odchodziła od łoża swego pana, przeprowadziła go do grobu wraz z krewnemi nieboszczyka i gdy sklep zamknęli, zniknęła bez wieści: Zrazu szukano ją, ale wkrótce dano pokój, sądząc że się gdzie ukryła ze szczeniętami, bo właśnie szczenną była. W dziesięć dni po pogrzebie, przyszedł robotnik żeby naprawić drzwi sklepu grobowego, które źle się odmykały. Gdy je otworzono, dziwne widowisko ujrzano: wieko trumny było zrzucone, całun nieboszczyka ściągnięty, a na piersiach jego leżało ciało Lussi, która zapewnie chciała zagrzać sobą swego pana i sama na nim zdechła. W kącie znaleziono ośmioro szczeniąt, z których tylko dwoje żyło, pozostałe zdechły z głodu. Trup Lussi ułożono w pudle drewnianem i ustawiono je u nóg nieboszczyka, dla którego musiano zrobić nową trumnę. Zrobiono też nadpis, ażeby czyn psa przeszedł do potomności.

SZKICE CHARAKTERYSTYCZNE,

PRZEZ

Leona Kunickiego.

W BAWARJI.



I.

SZÓSTY Z RZĘDU.

Ten cymbalista Kanafarski docina mi, że utyłem od piwa!.... Utyłem, to i cóż?.... a od czegóż homeopatja?.... *Similia similibus*.... jeślim utył od piwa, to od piwa schudnę....



II.

CO KWADRANSIK.

— Ja tak sobie panieneczko... co kwadransik....
— Dla porządku?.... nieprawdaż Panie?
— Oh! nie.... oh! nie.... dla zdrowia.... na ka.....
— Na katar?.....
— Chciałem powiedzieć, że na kaszel...... widzisz panienka jak się krztuszę.
— A!..... ja myślałam, że na katar, bo tak się panu nosek zaczerwienił.....

(d. c. n.)

Myśli i Zdania.

— Uczciwa praca, jest początkiem wszelkiej własności.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, ADAM MIECZYŃSKI.